

WYGON

AMY LIPTROT

PRZEŁOŻYŁA KAJA GUCIO

MARGINESY

*The Outrun*

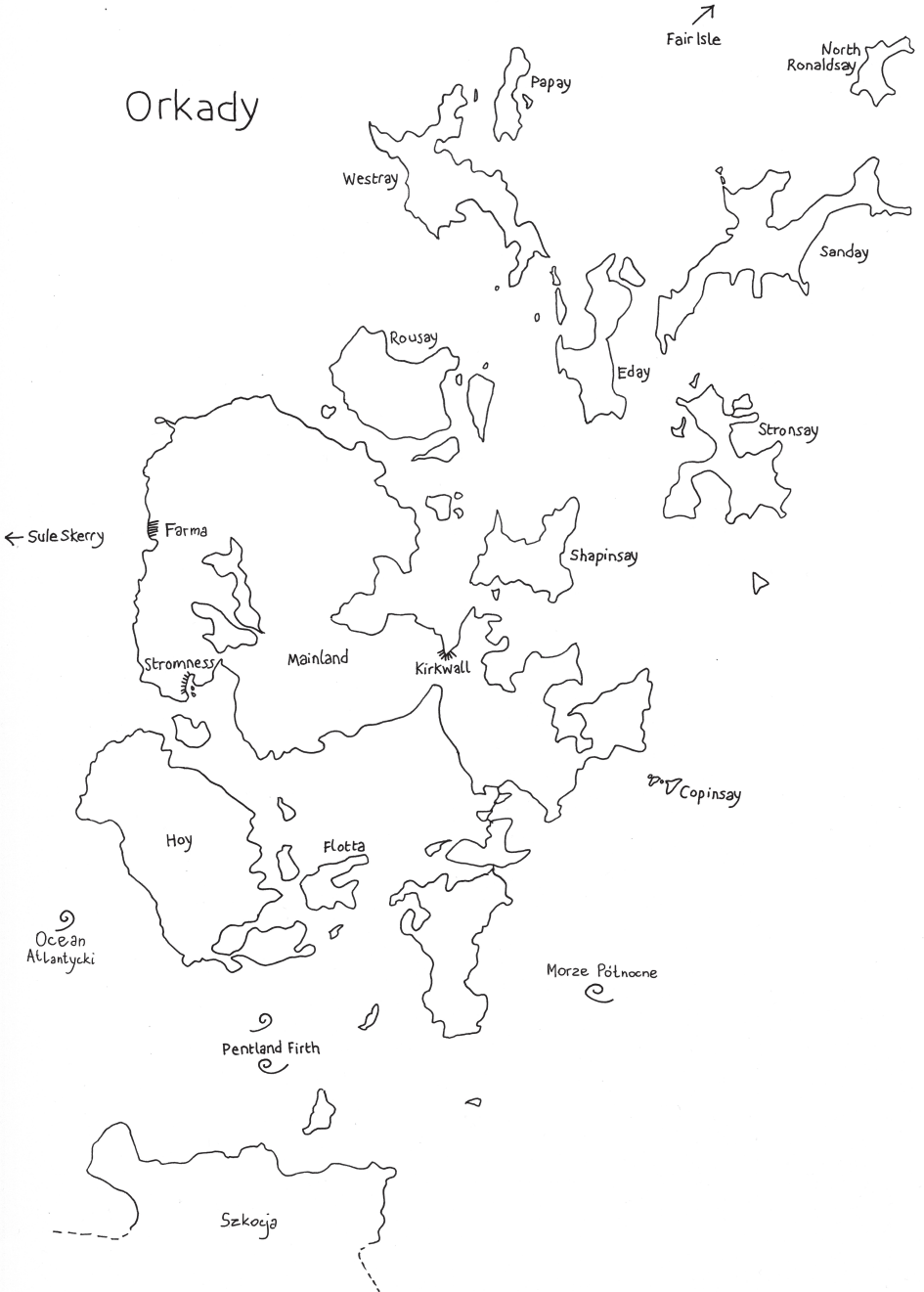
COPYRIGHT © Amy Liptrot 2016

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Kaja Gucio

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

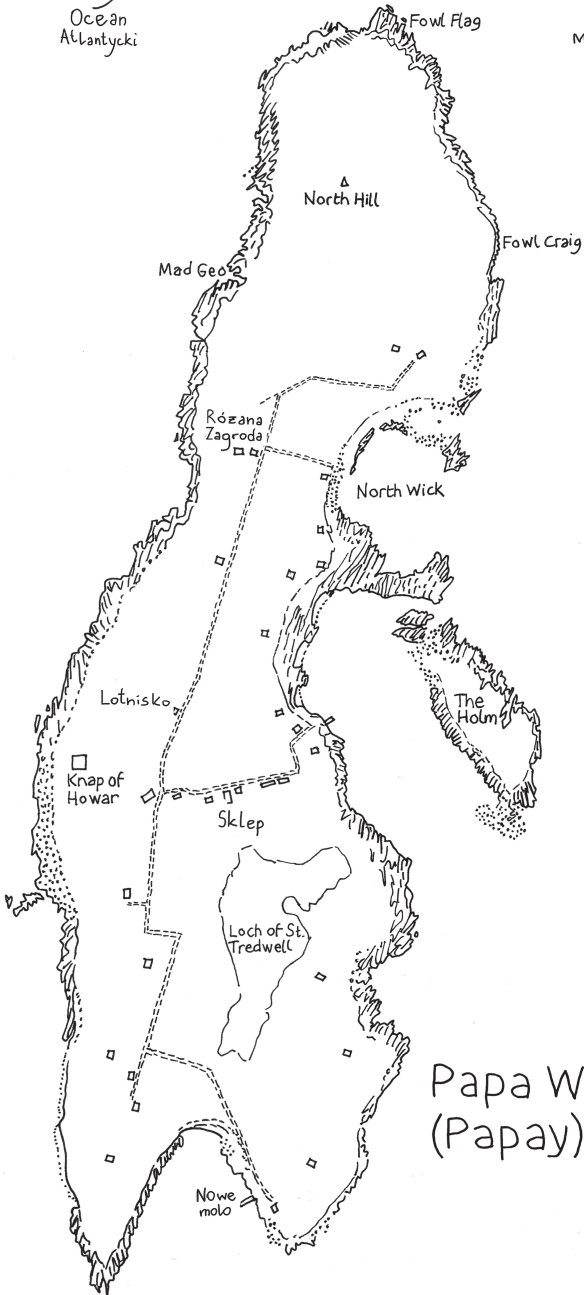
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

# Orkady



Ocean  
Atlantycki

Morze Północne



Papa Westray  
(Papay)

## Prolog

Spod wirujących śmigieł helikoptera wysuwa się wózek inwalidzki. Siedząca w nim młoda kobieta trzyma w ramionach swoje nowo narodzone dziecko. Jedzie wzdłuż pasa startowego jedyne go lotniska na wyspie, a z naprzeciwka nadjeżdża drugi wózek – z mężczyzną w kaftanie bezpieczeństwa.

Mają po dwadzieścia osiem lat. Oboje byli tego dnia pacjentami położonego w pobliżu niewielkiego szpitala. Kobieta urodziła tam swoje pierwsze dziecko. Mężczyznę, który na izbie przyjęć krzyczał i był agresywny, obezwładniono i podano mu leki uspokajające.

Orkady – grupa pachnących morzem i smaganych wiatrem wysp na północy Szkocji, między Morzem Północnym a Atlantykiem – oferują dostęp do wielu usług: są tu szpital, lotnisko, kino, dwie szkoły średnie i supermarket. Brakuje jednak oddziału zamkniętego dla osób psychicznie chorych. Pacjenta, który wymaga izolacji, zgodnie z przepisami ustawy o zdrowiu psychicznym trzeba przewieźć na południe, do Aberdeen.

Jeśli spojrzeć na niego z góry, z okien samolotu przewożącego przesyłki pocztowe z północnej Szkocji i robotników na platformę wiertniczą, pas startowy odcina się wyraźną linią na tle otwartego, bezdrzewnego krajobrazu. Ten skrawek terenu, regularnie zamykany na kilka dni podczas silnych wiatrów lub gęstej morskiej mgły, jest scenografią codziennego

dramatu odjazdów i powrotów, jaki odbywa się pod bacznym okiem kontrolerów ruchu powietrznego, wśród niskich wysp i rozległego nieboskłonu.

To wtedy, tego majowego wieczoru, kiedy stokrotki zamykają płatki na noc, nurniki i mewy wracają na skały, niosąc w dziobach ryby dla piskląt, a szukające schronienia owce zbierają się pod kamiennym nasypem grobli, zaczyna się moja opowieść. Przyszłam na ten wyspiarski świat w tej samej chwili, w której mój ojciec go opuszczał. To właśnie moje narodziny, trzy tygodnie przed terminem, wywołały u niego maniackalny epizod.

Mama przedstawia mężczyźnie – mojemu tacie – małą córeczkę i na chwilę kładzie mnie na jego kolanach, ale po chwili zabierają go do kabiny śmigłowca. Jeśli wypowiedzieli do siebie jakiegokolwiek słowa, zostały zagłuszone przez wiatr i ryk silnika.

## I. Wygon

Pierwszego dnia po powrocie chronię się obok starej zamrażarki tkwiącej wśród piekących pokrzyw i obserwuję, jak znad morza nadciąga zmiana pogody. Hałas rozbijających się o nabrzeże fal nie różni się zbyt od odgłosów ruchu ulicznego w Londynie.

Farma jest położona na zachodnim krańcu głównej, największej wyspy na Orkadach, na tej samej szerokości geograficznej, co Oslo i Sankt Petersburg, a od Kanady dzielą ją jedynie klify i ocean. W miarę jak zmieniało się rolnictwo, pojawiły się tu nowe budynki i maszyny, ale stare szopy i narzędzia pozostały, stopniowo pokrywając się rdzą w słonym powietrzu. Uszkodzona łyżka koparki zastępuje teraz koryto dla owiec. Zagrody, gdzie kiedyś wiązano bydło, są wypełnione przestarzałymi maszynami i meblami, które niegdyś stały w naszym domu. W tej obórcie przywiązałam liną do krokwi huśtawkę i zwiisałam z niej głową w dół nad bramą, teraz rdzewiejącą na ziemi.

Od południa gospodarstwo rozciąga się wzdłuż coraz bardziej piaszczystego nabrzeża, które przechodzi w zatokę Skail, półtorakilometrową plażę z neolityczną osadą Skara Brae. Od północy farma jest pocięta klifami, ich górne partie gęsto porasta wrzos. Każde pole ma prozaiczną nazwę: pole czołowe przy drodze prowadzącej do domu; pole jagnięce, osłonięte z każdej strony kamiennym murkiem. Największe pole –

Wygon – to pas wybrzeża z wiecznie niską trawą, przez cały rok smaganą wiatrem i oblewaną rozbryzgami morskiej wody. Na Wygonie latem wypasa się owce z jagniętami, wcześniej trzymane na specjalnych pastwiskach dla kotnych samic. To tutaj zimuje szkockie bydło górskie, czerwone i rogate, pasąc się swobodnie pod szerokim nieboskłonem.

Niektóre historyczne źródła dotyczące rolnictwa dzielą obszar gospodarstwa na dwa rodzaje terenów: grunty orne w pobliżu domostwa, tak zwane skotniki, oraz błonia lub wygony, nieuprawiane pastwiska położone dalej, często na zboczach wzgórz. W przeszłości Wygon był czasami wykorzystywany jako wspólne pastwisko przez kilku gospodarzy. Jest to najdalej położony fragment farmy, tylko częściowo zagospodarowany, gdzie dzikie zwierzęta krążą wśród domowych, a ludzie zapuszczają się rzadko, nic więc dziwnego, że nadprzyrodzone istoty czują się tam jak w domu. Orkadyjskie podania mówią, że w kopcach i pod powierzchnią wzgórz mieszkają całe gromady koboldów, słyszy się też opowieści o goblinach, niewielkich stworkach, które latem wychodzą spod ziemi i szukają okazji do najróżniejszych psot.

Na zdjęciu zrobionym na początku lat osiemdziesiątych Tata trzyma mnie na barana i razem z Mamą pokazują angielskim znajomym pustkowie, które właśnie nabyli. Rodzice chcieli kupić farmę, więc jechali coraz dalej na północ, aż w końcu znaleźli gospodarstwo, na które było ich stać. Zaskoczyli swoją decyzją rodzinę i przyjaciół – wszyscy wątpili w powodzenie przedsięwzięcia, podobnie zresztą jak miejscowi. Orkadyjczycy nieraz już widzieli, jak idealiści z południa osiedlają się na wyspie, po czym po kilku zimach wracają, skąd przyjechali.

Dorastałam tu, przy tych skałach. Nigdy nie miałam lęku wysokości. Kiedy z bratem byliśmy mali, Tata zabierał nas na



wędrówki po klifach. Wyrываłam się wtedy Mamie i spoglądałam przez krawędź na roztrzaskującą się na dole wodę. Na obrzeżach farmy płyty szarego kamienia tworzą głębokie urwiska i ogromne skalne konstrukcje – właśnie to monumentalne tworzywo oraz bezlitosne siły wyznaczały granice wyspy i mojego świata.

Jeden z naszych psów spadł z urwiska. Młody owczarek gonił króliki przy mocnej wichurze, nie zauważył krawędzi i wszelki ślad po nim zaginął.

Dziś też jest wietrznie. Wynurzam się ze swojej kryjówki za zamrażarką i wchodzę na Wygon po raz pierwszy od lat, oddychając przy tym głęboko. Na farmie nie ma drzew, a otwarta przestrzeń zdaje się rozciągać w nieskończoność.

Zbocza wszystkich skał opadają do morza. Mam na nogach kalosze, więc ostrożnie stawiam stopy wzdłuż pęknięć w kamiennych płytach, żeby się nie poślizgnąć. Włosy związałam w kucyk, ale pojedyncze kosmyki wymknęły się spod gumki i wpadają mi do oczu i ust, przyklejają się do mokrej od morskiej wody twarzy, jak wtedy, gdy byłam mała i biegałam za psami, przemykając się pod bramą i przeskakując kamienne ogrodzenie.

Odnajduję moje ulubione miejsce: nachyloną płytę skalną na szczycie klifu. Przyjeżdżałam tu jako nastolatka, ze słuchawkami na uszach, w najlepszych ciuchach, sfrustrowana. Wpatrywałam się w horyzont i marzyłam o ucieczce. Obserwowałam, jak pode mną fale rozbijały się o falochrony, a nad morzem latały mewy i myśliwce.

Jeśli w bezchmurny dzień spogląda się na południe przez Pentland Firth, można stąd dostrzec szczyty gór północnej Szkocji: Ben Hope, Ben Loyal, Cape Wrath. Na zachód od Wygonu, mniej więcej tam, dokąd sięga ludzki wzrok, znajduje się Sule Skerry, niegdyś najbardziej oddalona od ludzkich

siedzib latarnia morska w Wielkiej Brytanii. Widzę, jak na powierzchni morza unoszą się urządzenia wykorzystujące energię fal, testowane przez inżynierów. Teraz jest odpływ, więc pode mną, u podnóża klifu, widać odsłonięte skały w miejscu, gdzie utknęła łódź rybacka, kiedy miałam jedenaście lat.

Z mojej skały spoglądam na północ, w stronę cypla w Marwick. Stoi tam wieża upamiętniająca lorda Kitchenera. W 1916 roku Kitchener zginął wraz z sześciuset czterdziestoma trzema członkami liczącej sześćset pięćdziesiąt pięć osób załogi na pokładzie krążownika HMS „Hampshire”, zatopionego przez minę postawioną przez niemiecki okręt podwodny, trzy kilometry na północny zachód od miejsca, gdzie się teraz znajduję. Kilku z dwunastu ocalałych rozbitków schroniło się w gospodarstwie, które później należało do nas.

W relacji o katastrofie HMS „Hampshire” jeden z ocalałych marynarzy, W.M. Phillips, obrazowo opisuje noc tragedii: „Bez butów, ale poza tym w kompletnym umundurowaniu, przygotowałem się do skoku i żegnając się w myślach ze światem, zanurzyłem w burzliwych odmętach”. Phillips, który zdołał wdrapać się na sporą tratwę, opowiadał później, że ci, którzy mieli na sobie kamizelki ratunkowe, zostali „poproszeni o opuszczenie” przeciążonej szalupy: „Z uśmiechem na ustach, żartując, że dotrą na miejsce przed nami, około osiemnastu rozbitków odpowiedziało na apel i pogrzyżyło się w topieli, swoim poświęceniem dając współtowarzyszom jedyną szansę przetrwania”.

Po wielu godzinach dryfowania, kiedy żeglarze zaczęli się już obawiać, że rozbiją się o skały i zginą, szalupa dotarła wreszcie na brzeg przy ujściu jednego z okolicznych wąwozów – Nebbi Geo – położonego w obrębie Wygonu. Chodząc po tym odcinku wybrzeża, wyobrażam sobie tratwę, według

opisu Phillipsa „zaklinowaną między klifami tak, jakby ją tam umieściły ludzkie ręce”. Wyobrażam sobie ówczesnych rolników, jak w ciemności przeczesują wybrzeże w poszukiwaniu rozbitków i natykają się na trupy marynarzy wyrzucone na skały.

Wiatr na Orkadach wieje niemal bez ustanku. Na farmie najgorsze są wichury z zachodu, od strony morza. W ciągu jednej nocy potrafią przesunąć tony skał tak daleko, że rano potrzebna jest w zasadzie nowa mapa. Podmuchy ze wschodu bywają najpiękniejsze – wiatr wieje wtedy w stronę pływu i przeslizguje się po błyszczących kopułach rozbryzgujących się fal, połyskujących w promieniach słońca. Stare domostwa są przysadziste i mocne, podobnie jak mieszkańcy Orkadów, zbudowane tak, żeby przetrwać najsilniejsze huragany. Mnie brakuje tej solidnej stabilności – jestem wysoka i chuda jak tyczka.

Podążając znajomym wybrzeżem, próbuję nie czuć się niestabilnie. Wyprowadziłam się stąd ponad dziesięć lat temu, a wspomnienia z dzieciństwa mieszają się z nowszymi zdarzeniami: tym, co przywiodło mnie z powrotem na Orkady. Zmagając się z drucianą bramą, przypominam sobie, co powiedziała napastnikowi: „Jestem silniejsza od ciebie”.

Pod koniec zimy ziemia jest bladobrazowa, a Wygon wydaje się jałowy, ale dobrze znam jego tajemnice. Stary, zarośnięty kamienny mur okazał się pochodzić z epoki neolitu, a niektóre kamienie tworzące Pierścień Brodgaru jakieś dziesięć kilometrów stąd przetransportowano z położonego nieopodal na północ kamieniołomu. Podobny kamień, tyle że rozłupany, leży na zboczu wzgórza – być może spadł cztery tysiące lat temu po drodze do budowanego kręgu. Pamiętam kolonię gniazdujących tu rybitw arktycznych, które w sezo-

nie lęgowym pikowały nad naszymi głowami – przelatywały tak blisko, że czuliśmy muśnięcia ich skrzydeł. Latem pojawia się tu zagrożony wyginięciem wielki żółty trzmiel i zapyła koniczynę czerwoną; jesienią rosną magiczne grzybki, a na skałach przez cały rok można znaleźć rzadką odmianę morskich wodorostów *Fucus distichus*, występującą jedynie na omiatanym falami skalistym północnym wybrzeżu.

U szczytu Wygonu znajduje się filar morski, nazywany tu Spord lub Stack o' Roo – formacja skalna wysokości sporej wieży. Niegdyś była częścią klifu, ale teraz stoi osobno. Latem na filarze gnieźdzą się maskonury, a także fulmary, kormorany, mewy siodłate i kruki. Starannie omijając królicze nory, schodziłam w dół trawiastego zbocza na kamienny parapet, jakby stworzony do tego, żeby rozsiąść się wygodnie, patrzeć na filar i obserwować tętniącą życiem społeczność morskich ptaków – fulmarów głośno broniących swoich gniazd i maskonurów powracających z dalekich morskich wypraw.

Na Wygonie nie ma ogrodzeń chroniących owce przed skałami i klifami. Przez pierwsze lata ojciec wspinał się i ratował jagnięta, które utknęły na skalnych półkach, ale w miarę jak stado dojrzywało, znajomość topografii i pewny chód weszły zwierzętom w krew.

Po niedawnym deszczu w stronę morza spływa w dół zbocza strumień, w którym bawiłam się z bratem Tomem. Przeciskaliśmy się z naszymi psami pod niewielkim kamiennym mostkiem. Ostrygojady i kuliki zakładały gniazda w koleinach zostawianych przez ciągnik, a my łapaliśmy pisklęta, ściskaliśmy ich miękkie gorące ciała w dłoniach, po czym zwracaliśmy im wolność.

Zatrzymuję się w miejscu, gdzie kiedyś nasz sąsiad zostawił swój nowy ciągnik, a sam pobiegł otworzyć bramę, zapomniawszy jednak zaciągnąć ręczny hamulec. Pozbawiony kie-

rowcy pojazd zaczął się staczać po zboczu. Gospodarz nie miał szansy dobiec na czas, mógł więc jedynie patrzeć, jak kosztowna maszyna przyspiesza z niepohamowaną siłą, po czym znika za krawędzią klifu i na zawsze pogrąża się w odmętach Atlantyku.

Późnym popołudniem wracam na Wygon, żeby nakarmić krowy. Wciskam się obok Taty do kabiny ciągnika, tak jak w dzieciństwie. Ciągle jeszcze pamiętam, gdzie są górki i zagłębienia w ziemi, więc w razie potrzeby mogę się mocno trzymać. On opuszcza belę kiszonki do podajnika pierścieniowego, a wokół gromadzi się stado. Zapadł już zmrok, więc zostaję w kabinie i obserwuję, jak w świetle reflektorów ciągnika Tata ściąga z beli cienką czarną folię. Niemal całkiem osiwiiał i choć przez prawie cały rok nosi puchowy kombinezon, nie potrzebuje już rękawic.

Wygon kryje się za niskim wzgórzem i obok wybrzeża. Stojąc w odpowiednim miejscu, nie widzi się stąd żadnych zabudowań, a i samemu jest się niewidocznym z drogi. Tata powiedział mi, że w fazie maniakalnej właśnie tam sypiał. Pod koniec dnia, chroniąc się przed wiatrem za zamrażarką, skręcając papierosa i patrząc na zwierzęta, staję się własnym ojcem.

## 2. Wstrząsy

W drodze powrotnej ze spaceru po Wygonie nie idę prosto do domu, ale kieruję się na łąkę ze sprzętem i otwieram drzwi do przyczepy kempingowej, w której mieszka teraz Tata. Na zewnątrz czeka na niego pies pasterski, a konie przeciskają głowy ponad bramą, szukając siana. Stara przyczepa jest obciążona betonowymi blokami dla zabezpieczenia przed wiatrem. Ostatniej zimy wichura wybiła jedno z okien, teraz zabite deskami.

W środku zastaję Tatę. Ma na sobie roboczy kombinezon, w jego kieszeniach zawsze są upchnięte sznurek i szczyryk, a pod tym sweter, który zrobiła dla niego na drutach Mama, i on nadal go nosi mimo dziur na łokciach. Siedzi na tapicerowanym narożnym fotelu, skąd przez duże okno z akrylu rozpościera się najlepszy widok na podwórze i pola, zatokę i cypel. Kolory nieba i światło nad morzem zmieniają się przez cały dzień, wraz z nieustannymi zmianami atlantyckiej pogody. Kiedy chmury ustępują, słońce rozświetla wodę niezwykłym blaskiem. Odpływ odsłania nadbrzeżne skały. Czasami światło obrysowuje kontur wierzchołków wzgórz wyspy Hoy, położonej za cypłem na południu, kiedy indziej znikają całkowicie w kłębach morskiej mgły.

W promieniach zimowego słońca widać drobinki przyniesionego z zewnątrz kurzu i dymu ze skręcanych przez Tatę papierosów. Przy drzwiach leżą ubrania wierzchnie i kalosze,

na niskim stole zalegają dokumenty, a wszystko spowija blask ognia z gazowego kominka. Na drugim końcu przyczepy znajduje się sypialnia, a pod podłogą, bezpośrednio pod Tata, śpi pies, niczym wilk w jaskini.

– Poczułaś tam coś? – interesuje się Tata, po czym po raz kolejny zaczyna mi opowiadać o wstrząsach, choć już nieraz o nich słyszałam. Pasma klifów i plaż, gdzie według podań po raz pierwszy miał się objawić mityczny potwór morski Mester Muckle Stoorworm, gdzie wiedli życie ludzie ze Skara Brae i gdzie zatonął HMS „Hampshire”, ma swoje tajemnice.

Niektórzy mieszkańcy zachodniego wybrzeża Orkadów, w tym mój Tata, twierdzą, że czasami zdarza się im odczuwać wstrząsy lub drżenia, niczym niskie echo, które wydaje się dość silne, żeby jego wibracje mogły objąć całą wyspę, a jednocześnie na tyle ciche, że zastanawiają się, czy go sobie nie wyobrazili. „Trudno to usłyszeć, łatwiej wyczuć” – mówi Tata. „To taki niski dźwięk, coś jak grzmot słyszany z dużej odległości. Ziemia wibruje tak mocno, że w domach trzęsą się okna i półki. Trwa tyle, ile jedno bicie serca, i często powtarza się kilka razy w ciągu kilku godzin”. Miejscowi ponoć od lat odczuwają te wstrząsy, ale nie potrafią określić częstotliwości ich występowania. Zastanawiają się, czy jest to zjawisko geograficzne, stworzone przez człowieka, czy może nadprzyrodzone – i czy naprawdę występuje.

Aby zrozumieć wstrząsy, muszę zagłębić się w topografię Orkadów. W pierwszej kolejności warto poświęcić uwagę geologii wybrzeża zachodniej części wyspy Mainland, z wysokimi klifami w Marwick, Yesnaby i na wyspie Hoy, usianego filarami morskimi, nachylonymi skałami i zdradliwymi prądami, przez które rozbił się tam niejeden statek. Możliwe, że echa i wstrząsy są spowodowane przez uderzenia fal w ja-

skiniach wydrążonych głęboko pod polami. Kiedy duża fala trafia do ślepej jaskini, zatrzymuje tam powietrze i spręża je pod wysokim ciśnieniem. Gdy fala się cofa, bańka eksploduje, a uwolnione powietrze wywołuje wstrząs.

Inni zrzucają winę za wstrząsy na armię i hałas, jaki wywołują samoloty odrzutowe. W odległości około stu kilometrów od Orkadów, na przylądku Wrath na terenie północnej Szkocji, usytuowano poligon Ministerstwa Obrony. Odbývają się tam manewry wojskowe, zarówno na morzu, jak i na lądzie. Ten słabo zaludniony obszar jest jednym z niewielu miejsc w Wielkiej Brytanii, gdzie można detonować „konkretne sztuki”. Ciężka broń powietrzna to jedyny sprzęt zdolny wyemitować falę dźwiękową odczuwalną aż na Orkadach, ale i tak dotarłaby do nas wyłącznie przy doskonałych warunkach pogodowych. Szybkie samoloty również mogą wywoływać fale dźwiękowe, ponieważ szykując się do zrzutu, bombowce nurkujące schodzą w rejony, gdzie powietrze jest gęstsze. Tata czasami widzi i słyszy samoloty, mówi jednak, że wstrząsy wcale nie pojawiają się w tym czasie. Zastanawiam się, czy nie maczają w tym palców inne, trudniejsze do zrozumienia, a może nawet upiorne siły wyspiarskie. Ludowa legenda o Assipattle mówi o morskim potworze Stoorwormie, tak wielkim, że mógłby owinąć cielsko wokół ziemi i obrócić dowolne miasto w ruinę jednym ruchem języka. Parobek o imieniu Assipattle marzył, by uratować świat. Wreszcie mu się to udało, kiedy zabił Stoorworma, wciskając mu do wątroby płonący torf – potwór pomału ugotował się od środka. Wijąc się w agonii, ciskał głową na prawo i lewo, a z jego wybitych zębów powstały Orkady, Szetlandy i Wyspy Owcze. Doczołgał się na krawędź Ziemi, zwinął w kłębek i zdechł, a jego tłące się ciało stało się Islandią – krajem pełnym gorących źródeł, gejzerów i wulkanów. Ta wątroba wciąż



plonie, więc kto wie, może Stoorworm wcale nie jest całkiem martwy. Wzdłuż nabrzeża może czasem zadrzeć któraś z jego macek, a wstrząsy mogą być następstwem agonalnego dygotu potwora.

W trakcie rozmowy o wstrząsach trochę się denerwuję. Zwykle wymieniamy się uwagami dotyczącymi spraw gospodarczych – jakie prace trzeba wykonać, co się dzieje z owcami i w jakim stanie są grunty – więc słuchając, jak Tata opowiada o niesamowitych doznaniach i dziwnej geologii, obawiam się, że może nas czekać kolejny epizod manii. Mama nauczyła mnie rozpoznawać symptomy. Zwykle zaczyna się świetnie: Tata dużo wtedy mówi, jest pełen optymizmu i energii, ale wkrótce zaczyna robić kompulsywne zakupy, na przykład drogie barany czy sprzęt rolniczy, nie śpi całą noc i przemieszcza zwierzęta o czwartej nad ranem. Potem przychodzi poczucie wielkiej mocy, wydaje mu się, że może zmieniać czas i kontrolować pogodę.

Na podłodze przyczepy stoi taboret, który pamiętam z domu; Tata zrobił go w szpitalu, jeszcze jako nastolatek. Miał piętnaście lat, kiedy po raz pierwszy zdiagnozowano u niego depresję maniakalną, znaną obecnie jako choroba afektywna dwubiegunowa, z komponentem schizofrenicznym. Od tego czasu okresowo przeżywa wznosy i upadki o różnej amplitudzie. Naszą rodziną wstrząsały fale życia w jego ekstremalnych przejawach, cykle depresji maniakalnej. Między pobytami na oddziale zamkniętym i w kaftanie bezpieczeństwa, po których następowało leczenie w szpitalu psychiatrycznym, zdarzało mu się całe miesiące przeleżeć w łóżku bez słowa. Dzisiaj Tata jest w niezłej formie, ale kiedy sprawia wrażenie przygnębitego, boję się, że może to oznaczać początek depresji i kolejną długą zimę zupełnej beczynności.

Pewnego razu, miałam wtedy jedenaście lat, Tacie tak się pogorszyło, że chodził po gospodarstwie i rozbijał okno za oknem. Wiatr hulał po pokojach, zrzucając mi pracę domową z biurka. Przyjechał lekarz ze środkiem na uspokojenie, a potem policja i karetka pogotowia, a ja krzyczałam, żeby sobie poszli. Tatę opanowało coś, na co nie miał wpływu. Gdy lekarstwa zaczęły działać, przykucnęłam z nim w kącie sypialni i podzieliłam się bananem. „Moja dziewczynka” – powiedział.

Echa choroby psychicznej w moim życiu potęgowała niezwykle żarliwa religijność matki oraz krajobraz mojego dzieciństwa, którego rytm wyznaczały ustawiczne, wyraźnie odczuwalne uderzenia morskich fal o brzeg. Czytam o zjawisku „nabiegania fal” – fale rosną coraz wyżej, a następnie rozbijają się w płytszej wodzie przy brzegu. Energia nigdy nie wygasa. Energia fal, przenoszona przez cały ocean, zamienia się w hałas, ciepło oraz wibracje, absorbowane następnie przez ląd i przechodzące na kolejne generacje.

Tata przeszedł pięćdziesiąt sześć zabiegów elektrowstrząsów. Terapia ta, stosowana w najcięższych przypadkach chorób psychicznych, polega na rażeniu mózgu prądem w celu wywołania napadu drgawkowego. Nikt nie wie, jak i dlaczego to działa, ale pacjenci często później zgłaszają, że czują się lepiej, przynajmniej przez jakiś czas.

Pierwsze fale pojawiły się w dniu moich narodzin, i chociaż wyjechałam daleko, drgawki, jakich doświadczałam, kiedy moje picie się nasilało, sprawiały, że miałam wrażenie, jakby i mnie w końcu dopadły wstrząsy. W pustych londyńskich pokojach lub toaletach w klubach nocnych moje nadgarstki i szczęki sztywniały, a kończyny nie reagowały tak, jak powinny. Alkohol, który przez całe lata w siebie wlewałam, był jak nieustanny ruch fal rozbijających się o krawędzie klifów i zaczynał wyrządzać w moim organizmie szkody fizycz-

ne. Coś rozpadało się głęboko w moim układzie nerwowym i wstrząsało moim ciałem w potężnych impulsach do tego stopnia, że tkwiłam w całkowitym bezruchu, ze śliną ciekącą z ust, dopóki nie uspokoiłam się na tyle, że mogłam włączyć w siebie kolejnego drinka lub wrócić na imprezę.